

*Ewa Adamska-Lisowska*

## POWRÓT DO KRAINY DZIECIŃSTWA FELIETONY SENTYMENTALNE

### MUSZYNA

Z każdym dniem obraz Muszyny z lat dzieciństwa zaciera się w mojej pamięci coraz bardziej, umyka spod powiek – jakbym budziła się ze snu, nie pamiętając jego treści. Wszystkie wakacje w latach 70. spędzałam z rodzicami właśnie w Muszynie. Powracałam do niej z roku na rok pokorniejsza – jakbym zaczynała rozumieć prawdziwe znaczenie gór, rzeki i ludzi. Pokorniejsza, ale i ufniejsza, że to, co mnie otacza, jest mi przeznaczone, że przyciąga mnie jak magnes, że nie pozwala zapomnieć. Nie pamiętam chwili, bym choć przez moment żałowała tego, że tam jestem.

Później nastąpiła przerwa...

I nagle po piętnastu latach powróciłam na nowo do Muszyny – dojrzała i bardziej świadoma swoich oczekiwań. Tęsknota za tym miejscem była silniejsza niż wszystko. Jechałam wypełniona obawami, z niecierpliwością czekając na konfrontację tego, co było, z tym, co nastąpi.

Odetchnęłam z ulgą, ujrawszy muszyński rynek z XIX-wiecznymi zabudowaniami wzdłuż ulicy Kościelnej i dwoma bielonymi kapliczkami, w których ukryli się dwaj święci: Jan Nepomucen i Florian.

Pierwsze swoje kroki kieruję do piekarni, którą bardzo wyraźnie pamiętam z dzieciństwa – zapach pieczonego chleba docierał wówczas wszędzie. Stamtąd do źródła Anny już niedaleko – nabieram w dłonie wodę i delektuję się jej niepowtarzalnym zapachem i smakiem. I znów przelatują mi przed oczyma chwile spędzone z rodzicami, gdy po kolacji dzień w dzień przemierzaliśmy kilka kilometrów w drodze do tego źródła.

Ugasiwszy pragnienie, wspinam się na wzgórze zamkowe – widok jak dawniej, może tylko więcej nowych domów, usiłujących stłumić piękno starych drewnianych pensjonatów, które teraz stoją smutne i puste. W dole rzeka wciąż ta sama, choć jednak inna; łagodna, ale i niepokorna zarazem. W oddali góra Malnik, szczególnie bliska memu sercu – chodziłam tam na grzyby z tatą i jeśli nawet był nieurodzaj, przynosiliśmy zawsze pełen koszyk.

Ulica Piłsudskiego, która prowadzi do dworca, ma w sobie niezwykły urok. Zachowało się tu sporo drewnianych, zabytkowych domów z początku XX wieku, z cudownie rzeźbionymi gankami i mnóstwem jaskółczych gniazd. Wąskie przejścia pomiędzy nimi prowadzą do miejsc znanych tylko nielicznym. Pokonując dziurawą gdzieniedzie kładkę nad torami, dochodzę do ulicy Ogrodowej. Po drodze zapach podkładów kolejowych przyprawia mnie o przyjemny zawrót głowy. Mam na tej ulicy swój ulubiony dom – piękną, drewnianą willę z rzeźbionym gankiem i kolorowymi szybkami w oknach. Dawniej mieścił się tu zakład fotograficzny, o czym świadczy stary – prawie nieczytelny – napis „foto”. Mam wrażenie, że już tylko ja o tym pamiętam...

Odwiedzę jeszcze Poprad, którego szum przez te wszystkie lata był mi po stokroć bliższy od szumu Wisły. Mijam domy, których widok zachowałam w pamięci. Przetwały tyle lat nienaruszone, choć pomiędzy nie coraz bardziej bezwzględnie wciskają się nowe budynki – tłumiąc urok tych starych.

Siadam nad brzegiem rzeki – jak przed wielką sceną, na której od wieków rozgrywały się wielkie i małe dramaty. Ile to już razy dawała o sobie znać potęga przyrody, ile to już razy ludzie uświadamiali sobie nagle ogromną niszczycielską siłę Popradu. Na drugim brzegu rzeki pasą się białe owieczki – które to już pokolenie od tych, które pamiętam?

Kieruję się w stronę Rynku, mijając starą XVIII-wieczną karczmę, którą kiedyś pan Karol Rojna zamienił w urokliwe muzyńskie muzeum. To prawdziwa skarbnica tego, co pozostało po dawnej Muszynie – wiele jest tam przedmiotów użytecznych, których znaczenia nikt już nie pamięta.

Mój dzień się kończy. Wolnym, ale nie ze zmęczenia, krokiem wracam w stronę centrum. Za każdym razem pozostawiam tu część siebie, dlatego tak bolesne jest każde rozstanie. Nie chcę opuszczać tego miejsca – czuję, że na powrót odżyły dawne wspomnienia. W duchu przyrzekam sobie, że będę tu powracać każdego lata, choćby na chwilę...

## OKOLICE MUSZYNY

Przeglądam stare fotografie, by przywołać dawne wspomnienia, by powrócić jeszcze raz do krainy dzieciństwa. Nic tak bardzo nie zatrzymuje czasu jak zdjęcia. Są one najpełniejszym źródłem moich wspomnień.

Tym razem moje myśli płyną w stronę Leluchowa – malutkiej wioski na pograniczu Polski i Słowacji. Pamiętam, że jako dziecko zastanawiałam się nad znaczeniem tej nazwy. Była ona dla mnie zawsze dziwna i zagadkowa, jakby kryła w sobie jakąś tajemnicę.

Po raz pierwszy odwiedziłam to miejsce w wieku siedmiu lat. Powróciłam do niego po piętnastu latach, świadoma swego wyboru. Tego lata odkryłam na nowo cudowną XIX-wieczną leluchowską cerkiewkę, ukrytą pośród pachnących miodem lip. Przytulił się do niej mały cmentarzyk z pochylonymi ze starości krzyżami. Niewiele można już odczytać z tabliczek cmentarnych. Jakieś daty, nazwiska, które pewnie na zawsze pozostaną tajemnicą. Zapach impregnowanego drewna użytego do budowy cerkwi jest tak mocny, że przywołuje kolejne wspomnienia... Ten zapach tak charakterystyczny dla wszystkich świątyń drewnianych towarzyszy mi od zawsze, ilekroć wędruję śladami dawnych Łemków.

Wokół cisza i spokój – tylko pszczoły pracowicie krążą w konarach drzew. Przysiadam pod lipą na murku okalającym cmentarzyk. Zachwycam się na nowo tym wszystkim, co mnie otacza. Spoglądam na złote łany zbóż, poprzetykane kolorowymi chabrami i makami, na zielone lasy Gór Czerchowskich. W dole wartko płynie potok Smereczek, który cierpliwie wyznacza granicę państwa.

Teraz, po latach, chłonę ze zdwojoną siłą wszystko to, czego jako dziecko nie byłam w stanie pojąć i zrozumieć. Delektuję się każdą nową chwilą spędzoną na powrót w tym

miejscu. Tak samo, a jednak inaczej, odbieram wszystkie zmiany zachodzące wokół mnie.

Czekając na pociąg przypominam sobie, jak dawniej niespiesznie toczyła się lokomotywa – groźnie wzbijając w niebo białe obłoki pary, by później spod słowackiej granicy wycofać się potulnie w stronę Muszyny. Przed oczyma wciąż mam jej czarno-czerwony kolor...

Chcę jeszcze dzisiaj odwiedzić Powroźnik – rozległą wieś w dolinie Muszynki, leżąca przy drodze do Krynicy. Tym razem nie dla okazałej XVII-wiecznej cerkwi, lecz pięknej murowanej kapliczki z XVIII wieku – ze świętym Janem Nepomucenem. Podczas słonecznej pogody w jej bielonych ścianach ślicznie przegładają się liście pobliskich drzew i krzewów.

Rozstania zawsze bywają bolesne. Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na okolicę, na pełną soczystej zieleni Jastrzębską Górę. Po raz kolejny opuszczam bliskie memu sercu miejsce. Wyjeżdżam do podwawelskiego grodu, by po chwili znów zatęsknić za Muszyną.



Willa vis a vis stacji kolej.

w Muszynie.

Nakładem R. Kanner w Nowym Sączu.

Willa „Zorza” z witrażkami w oknach.  
Pocztówka z lat 30. (ze zbiorów *Almanachu Muszyny*)